

---

# SOLIDARNOŚCIOWA MOZAIKA

---

TOMASZ WIŚCICKI

**Czas przełomu. Solidarność 1980–1981, red. Wojciech Polak, Przemysław Ruchlewski, Violetta Kmieciak, Jakub Kufel, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010, s. 1030.**

---

Ponad tysiąc stron sporego formatu, 58 tekstów, 60 autorów – tom *Czas przełomu. Solidarność 1980–1981*, podsumowujący zorganizowaną w 2010 r. przez Europejskie Centrum Solidarności konferencję, onieśmiela samymi rozmiarami. Również szerokość podejmowanej problematyki (według współredaktorów książki: „teksty dotyczące: genezy Solidarności, strajków sierpniowych 1980 r., organizowania niezależnego związku, spraw programowych, napięć społecznych w latach 1980–1981, działalności SB wobec związkowców, aspektów socjologicznych ówczesnych wydarzeń, oddźwięku wypadków w Polsce i na świecie, odzwierciedlenia przełomu solidarnościowego w kinie i działaniach artystycznych”... uff) sprawia, że napisanie klasycznej recenzji, podsumowującej całość wydawnictwa, jest niepodobiestwem. Można natomiast spróbować przedstawić garść refleksji na kanwie wybranych tekstów zawartych w opasłym tomie – i taki właśnie charakter mają niniejsze uwagi.

Zdecydowaną większość omawianego tomu zajmują prace historyczne. Prób spojrzenia na Solidarność okiem innych nauk społecznych – filozofii, politologii – jest mniej i należą one do fragmentów mniej udanych. Co do niektórych z nich można wręcz odnieść wrażenie, że mimo naukowego aparatu niedaleko albo wcale nie wykraczają poza potoczne spostrzeżenia, dawno poczynione

przez świadków, publicystów, komentatorów, kierujących się zmysłem obserwacji i zdrowym rozsądkiem. Te niezbyt udane próby głębszego zinterpretowania doświadczenia Solidarności wydają mi się symptomatyczne. Mimo upływu trzydziestu lat wydaje się, że wciąż jesteśmy dość bezradni, gdy usiłujemy ogarnąć głębszy sens nagłego przebudzenia społeczeństwa w latach 1980–1981. Owszem, istnieją rozmaite, wielce inspirujące próby szukania takiego sensu za pomocą narzędzi, jakich dostarczają rozmaite nauki społeczne. Dość wspomnieć wiele wartościowych prac socjologów, którzy od początku z różnych stron badali solidarnościowy fenomen, wczesne, klasyczne rozważania Jadwigi Staniszkis o samoograniczającej się rewolucji, wyraziste ideowo próby Sergiusza Kowalskiego (*Krytyka solidarnościowego rozumu*) czy też – po latach – ważne rozważania autorów z kręgu „Teologii Politycznej”, Zbigniewa Stawrowskiego czy wreszcie niedawną wybitną pracę Elżbiety Ciżewskiej. Tę listę można jeszcze ciągnąć dość długo – a jednak będę się upierał, że biorąc pod uwagę ogrom i znaczenie fenomenu Solidarności, prac takich jest zadziwiająco mało. Wciąż, po trzydziestu latach, nie bardzo wiemy, co nam się jako narodowi wówczas przytrafiło i co z tego dla nas na dłuższą metę wynika.

Ciągle jesteśmy na etapie poznawania i porządkowania faktów. Oczywiście, te dwa procesy toczą

się równolegle – nie trzeba czekać na drobniogłębokie poznanie wydarzeń, by poddać całość zjawiska głębszej refleksji, jednak na razie zdecydowanie lepiej idzie nam zbieranie faktów. W omawianym tomie na szczególną uwagę zasługuje moim zdaniem blok tekstów, które łatwo – niesłusznie! – uznać można za mniej istotne, przyczynkarskie. Chodzi o opracowania zamieszczone w części 3: *Regiony*. To z tych pozornie kronikarskich zapisów wyciągnąć można nader interesujące i ogólne wnioski.

Warto np. porównać dwa modele sierpniowego protestu – powszechnie znany, dziś niejako archetypiczny, gdański oraz niezłe w sumie i dość wcześniej opisany, ale dużo słabiej funkcjonujący w społecznej świadomości – szczeciński. Przedstawia go Marcin Stefaniak (*Szczecińska droga do Solidarności. Przebieg i konsekwencje strajków sierpniowych w aglomeracji szczecińskiej*). Dużo lepiej obecny w świadomości strajk gdański opisany został od strony udziału w nim opozycjonistów z RMP, jednak tekst Jakuba Kufla *Rola działaczy Ruchu Młodej Polski w strajku sierpniowym w Stoczni Gdańskiej* relacjonuje w istocie cały przebieg wydarzeń w stoczni. Różnice między obu strajkami są uderzające. W Gdańsku szerokie i powszechnie aprobowane uczestnictwo przedsierpniowej opozycji, inteligentkiej i robotniczej – w Szczecinie owszem, pewien udział, ale zakulisowy, w obawie (w pełni uzasadnionej) przed niechęcią ze strony szeregowych strajkujących. W Szczecinie podkreślanie postulatów socjalnych, a domaganie się wolnych związków przejęte jako akt solidarności z Gdańskiem – tam żądanie nowych związków, a więc jawnie polityczne, na pierwszym miejscu. W Szczecinie niechęć do dziennikarzy, zwłaszcza zagranicznych – w Gdańsku otwarcie wobec mediów, wrogość tylko wobec reżimowej propagandy. No i samo brzmienie porozumienia – w Szczecinie znacznie złagodzone wobec gdańskiego. Gdyby model szczeciński zwyciężył w skali kraju albo przynajmniej funkcjonował równolegle z gdańskim, można sądzić, że wolne związki – jeśli w ogóle by powstały – nie byłyby zapewne początkiem końca komunizmu ani powszechnie uznawanym symbolem antykomunistycznej samoorganizacji narodu. Na tym przeciwstawieniu

zresztą opierał się plan Kazimierza Barcikowskiego, który – osiągnąwszy relatywny sukces w porównaniu z jego towarzyszami negocjującymi w Gdańsku – miał zamiar spacyfikować powstające związki, przeciwstawiając słuszny, robotniczy model szczeciński antysocjalistycznemu gdańskiemu. Nic jednak z tego nie wyszło – atrakcyjność pomysłów wypracowanych w Stoczni Gdańskiej była tak oczywista, że wariant szczeciński błyskawicznie poszedł w zapomnienie, także w swej kolebce, tym bardziej że w Gdańsku władze przełknęły dużo więcej. Reszty dokonała naturalna dynamika nowego ruchu. Na szczęście dla dziejów Solidarności i dla nas wszystkich...

Jeszcze bardziej uderzający jest kontrast między lubelskim głównie lipcem i sierpniem, zwłaszcza tym w Gdańsku. Gdy czyta się opisy obu tych serii protestów – w niczym nie ujmując odwagi i determinacji strajkujących w pierwszym, niejako wstępnym miesiącu polskiego lata 1980 r. – aż trudno uwierzyć, że te dwie fale dzielą dosłownie dni. Wydarzenia w Świdniku opisuje Agnieszka Kamińska (*Strajk w Świdniku w lipcu 1980 r.*). Natomiast zapowiadający w tytule szersze omówienie tekst Piotra Pawła Gacha *Zorganizowane protesty robotnicze na Lubelszczyźnie w lipcu 1980 r. i przygotowania władz komunistycznych do wprowadzenia stanu wojennego* to dziwaczny przypadek, że tytuł pozostaje właściwie bez związku z treścią... Porównanie 110 punktów postulatów załogi WSK-Świdnik, rozpoczynających się od podwyżek, ze sławnymi 21 postulatami gdańskimi, z żądaniem wolnych związków na czele, mówi samo za siebie. Oczywiście, i tu, i tu zaczęło się od podobnie chaotycznej, monstrualnie długiej listy żądań, ale w Gdańsku końcową jej obróbką zajęli się – z upoważnienia strajkujących, głównie robotników – doświadczeni opozycjoniści. Skutek znamy. Nie chodzi o podkreślanie wyższości jednych odważnych strajkujących nad drugimi, ale o niewiarygodny doprawdy postęp w świadomości i samoorganizacji, jaki dokonał się w Gdańsku. Tym lepiej można zrozumieć, dlaczego to właśnie on stał się modelem i symbolem.

Inny aspekt pozornie tylko regionalny, a w istocie ważny dla całej historii naszego kraju, poka-

zuje Dariusz Węgrzyn w artykule *Strajk generalny na Podbeskidziu i jego rola w formowaniu się struktur NSZZ „Solidarność” oraz integracji społeczności województwa bielskiego*. Sławne w 1981 r. wystąpienia w ówczesnym województwie bielskim podjęte zostały wbrew planom władz Solidarności, które jednak – w obliczu spontanicznego, a zarazem dobrze zorganizowanego protestu na ogromną skalę – nie miały innego wyjścia, niż się pod nim podpisać. Autor ukazuje, jak wielką rolę odegrały one dla integracji społeczeństwa regionu, który właśnie od tego czasu zaczął być identyfikowany i sam się identyfikował jako Podbeskidzie. Wcześniej był to sztuczny twór bez wspólnej historii i tożsamości, zawdzięczający swe istnienie twórcom nowego podziału administracyjnego PRL w 1975 r. Po strajkach stał się rzeczywiście regionem.

To kolejny fenomen okresu 1980–1981, niby znany, wręcz oczywisty, a przecież słabo zbadany – przebudzenie uśpionego dotąd społeczeństwa, które postanowiło przyjąć współodpowiedzialność za kraj. Odbywało się to w warunkach samoograniczenia, wobec świadomości, że władza ma dość sił, by nią pozostać – wraz z *ultima ratio* w postaci sowieckich czołgów... Jednak dostrzegano nadzieję, że w sprawach bieżących, z dala od wielkiej polityki, społeczeństwo ma prawo, a nawet obowiązek przynajmniej sformułować postulaty wobec rządzących. Nawet jeśli nie zawsze były one dojrzałe, nie zawsze znamionujące zrozumienie realnych mechanizmów rządzenia – nade wszystko podszyte były, jak nam to boleśnie uprzytomniono ostatecznie 13 grudnia 1981 r., ogromną dozą naiwności – znaczenia tego procesu nie sposób przecenić. Ten wybuch współodpowiedzialności stanowił ogromny potencjał, który mógł być wykorzystany dla kraju. I właśnie dlatego rządzący uznali go za śmiertelne dla siebie zagrożenie i przez całe lata osiemdziesiąte wkładali ogromny wysiłek, by ten potencjał stłamsić. Ze sporymi sukcesami, niestety...

Jak to się odbywało w realiach lat 1980–1981, pokazuje mało może efektywny, ale niezmiernie pouczający tekst Andrzeja Wróbla pod tytułem *Życie polityczne w Tomaszowie Mazowieckim*. Można dyskutować, czy wzajemne relacje lokalnej wła-

dzy i samoorganizującego się społeczeństwa najlepiej określa termin „życie polityczne”, kojarzące się raczej ze stanem bardziej ustrukturyzowanym i zakładającym długofalowe trwanie, a nie ukryte przygotowania do zniszczenia drugiej strony. Jednak samo zjawisko jest fascynujące: pojawienie się czynnika niezależnego od władzy i reprezentującego dążenia większości społeczeństwa powoduje, że ten czynnik – Solidarność – zaczyna się niejako rozpychać w systemie, który w ogóle jego istnienia nie przewidywał, a teraz, mimo wrogości do obcego ciała, musi się trochę posunąć i dać mu miejsce. Nie może go ignorować, choćby i chciał. Nagle przewodniczący Związku pojawia się na posiedzeniu rady narodowej i zaczyna formułować postulaty, powołując się – z pełnym uzasadnieniem – na wolę społeczeństwa, które przecież rzadzi w państwie robotników i chłopów... Rzeczywiście, to była rewolucja – mniej efektywna niż żądania solidarnościowej centrali, ale może nawet dalej idąca, zwłaszcza przez swoją oczywistość i naturalność, której władza nie miała czego przeciwstawić. A ściślej – miała i przeciwstawiła 13 grudnia: czołgi na ulicach, pałki i gaz łzawiący, więzienia i salwy, wreszcie nieprawdopodobną masę kłamstw i zorganizowanej podłości, jaka załaza nas w stanie wojennym. Po lekturze opisu przykładu tomaszowskiego widać lepiej, że władza rzeczywiście nie miała innego wyjścia, choć zupełnie w innym sensie, niż przekonuje nas dziś gen. Jaruzelski i jego chwalczy. Solidarność oznaczała w istocie kres możliwości odwoływania się przez władzę do dotychczasowych strategii ją legitymizujących. Pozostała siła i jawne kłamstwo.

Przez cały właściwie tom przewija się istotny wątek: stosunek ówczesnej władzy do tworzącej się Solidarności. Jest on jednoznacznie wrogi. Samoorganizację swych dotychczasowych poddanych, nagle przemienionych w obywateli, totalitarny – choćby i niezbyt skutecznie – aparat potraktował jako śmiertelne dla siebie zagrożenie i podjął stanowcze przeciwdziałanie. Dodajmy – jak pokazała późniejsza historia, ta ocena była z punktu widzenia władców PRL w pełni trafna: Solidarność była początkiem końca ich otwartego panowania. Na pierwszej linii stała oczywiście

Służba Bezpieczeństwa, ale była ona przecież tylko wyspecjalizowanym w manipulowaniu informacją i niszczeniu ludzi ramieniem PZPR. Wystarczy tu przypomnieć omawiane już plany wykorzystania przez Kazimierza Barcikowskiego większej ustępliwości w Szczecinie do możliwie szybkiej neutralizacji Solidarności i wtopienia jej w panujący system władzy. A przecież mówimy o działaczu partyjnym, który lubił już wtedy podkreślać swój liberalizm; pamiętamy jego ówczesne gawędy o „starym Barcikowskim”, który po latach będzie patrzył na skutki swojego dzieła – porozumienia szczecińskiego. Ów „stary Barcikowski” od swych mniej dobrodusznym kolegów różnił się tylko metodami. A gdy te łagodniejsze zawiodły – wszyscy, liberałowie i twardogłowi pospołu, spotkali się wśród wykonawców stanu wojennego.

To wszystko jest oczywiste dla tych, którzy pamiętają ówczesną atmosferę. Ci, którzy nie pamiętają albo z jakichś powodów pamiętać nie chcą, mogą dać się nabrać na dzisiejsze wspomnienia weteranów komunistycznego aparatu, którzy – gdybyśmy im mieli uwierzyć – zawsze marzyli o zwycięstwie Solidarności, a przed jawnym wyrażaniem tych marzeń powstrzymywała ich tylko – wicie, rozumiecie – „określona sytuacja”. Tymczasem ten ogólnonarodowy ruch miał swojego zdeklarowanego wroga: komunistyczny aparat. Okres lat 1980–1981 był swego rodzaju zawieszeniem broni, za którym kryło się konsekwentne dążenie do zniszczenia Solidarności. Tę mentalność nadzwyczaj trafnie pokazuje sławna scena z finału *Człowieka z żelaza*, gdy grany przez Franciszka Trzeciaka aparatczyk „pociesza” głównego bohatera – redaktora Winkla (Marian Opania), że te całe porozumienia to tylko świstek papieru...

Takich osobników – głównie z SB – widzimy w akcji, gdy czytamy, jak starali się inwigilować, manipulować, osłabiać, neutralizować Solidarność. Widzimy zarazem, jakie były granice ich możliwości. Jarosław Neja i Tomasz Kurpierz w opracowaniu o burzliwych i skomplikowanych dziejach Związku na Śląsku i w Zagłębiu (*Solidarność śląsko-dąbrowska 1980–1981: trudna droga do zjednoczenia*) pokazują, jak działania SB przyczyniły się do

wyeliminowania z gry w zjednoczonym regionie charyzmatycznego i radykalnego Andrzeja Rozpłochowskiego. Autorzy nie rozstrzygają przy tym – bo w istocie żadne źródła tego rozstrzygnąć jednoznacznie nie są w stanie – w jakim zakresie o tym „sukcesie” esbeków zadecydowały ich wysiłki, a w jakim okoliczności, na które wpływu nie mieli: osobowość bohaterów, ich zręczność i popełnione błędy, zaszłości historyczne, uwarunkowania społeczne itd. Wszelkie opowieści o działaniach funkcjonariuszy SB pokazują zarazem, że ich niewątpliwy profesjonalizm i krótkoterminowa skuteczność nie były w stanie zapobiec samoorganizacji społeczeństwa, której centrum stanowiła Solidarność. Mogli ograniczać negatywne z punktu widzenia władzy skutki, ale nie byli w stanie zapobiec samemu zjawisku.

Przez stronicie książki przewijają się tysiące postaci współtworzących ruch. Tylko niewiele z nich jest powszechnie kojarzonych. Większość zniknęła z kart historii. Dobrze, że autorzy ich przypominają – nawet jeśli tylko z imienia i nazwiska. To kolejny aspekt fenomenu Solidarności: pojawienie się niemal znikąd tysięcy samorodnych przywódców i innych aktywnych uczestników życia publicznego. Nie można nie zadać pytania, co się z nimi stało. Gdzie są dziś? Jak wykorzystany został ten niewiarygodnie wielki potencjał ich aktywności?

Odpowiedzi na te pytania nie znajdziemy w omawianym tomie. To materiał na kolejne dzieła – całą bibliotekę. To, co wiemy skądinąd, skłania raczej do pesymizmu, choć całościowej wiedzy brak. To ogromne pole badań dla historyków, socjologów, psychologów społecznych, reporterów. Co się z tymi ludźmi stało? Czy ich możliwości da się jeszcze wykorzystać dla wspólnego dobra? No i pytanie najprostsze: jakie były ich losy? Im wszystkim po prostu należy się nasze zainteresowanie.

Jeszcze jeden aspekt niezwykle ważny i wciąż mało zbadany to wpływ sytuacji międzynarodowej na losy Solidarności. Przypomnijmy do tych rozważań stanowią teksty w części drugiej tomu zatytułowanej *Świat*. Ich zasadniczą słabością – niezawinioną przez autorów, którzy zresztą lojalnie

o tych brakach ostrzegają – jest niedostatek wiarygodnych źródeł. Państwa zazdrośnie strzegą swych tajemnic, zwłaszcza tych, które mogą postawić ich reprezentantów w nie najlepszym świetle... Dlatego ten niezwykle ważny aspekt wydarzeń lat 1980–1981 może jeszcze długo poczekać na wyczerpujący opis. Na razie mamy kilka wielce interesujących przyczynków.

Na koniec tych uwag – łyżka dziegciu w tej ogromnej beczce miodu. Odnoszę wrażenie, że autorzy oprawy graficznej tomu potraktowali ją jako dzieło samo w sobie, zapominając, że powinna ona ułatwiać czytanie. To, że czcionka moim zdaniem męczy przy lekturze, można uznać za wyraz subiektywnych gustów recenzenta. Trudno mi sobie jednak wyobrazić, by komuś odpowiadała żywa pagina umieszczona w pionie, na wewnętrznym marginesie – ma ona przecież stanowić swego rodzaju narzędzie szybkiej identyfikacji tekstów. Podobnie – umieszczona w tym samym miejscu, na co drugiej stronie (!) paginacja. Wygląda to owszem, oryginalnie, ale czytania nie ułatwia. Jeszcze gorszym pomysłem jest relikw z czasów

ręcznego składu – przypisy na końcu tekstu. Są one niejednokrotnie nadzwyczaj warte uwagi – ale od czytania bolą ręce, zwłaszcza w przypadku tak ogromnego tomu. Wydawców należy natomiast pochwalić za zamieszczenie indeksu – absolutnie niezbędnego w pracy o tym charakterze. Może to i oczywistość, ale tyle ukazuje się książek, których wydawcy poskąpili grosza i papieru na ten niezbędny element, że warto podkreślić z uznaniem solidność ECS w tym względzie.

Omawiany tom z pewnością wart jest wysiłku wzięcia go do ręki – lub obu rąk. Można z niego wyciągnąć inspirujące refleksje nad sensem wydarzeń, które zwłaszcza młodym mogą wydawać się równie odległe co zmagania pierwszych Piastów. Uważna, nawet wrywkowa lektura pokazuje, że tak nie jest: nasza współczesność wynika w prostej linii z tego, co wydarzyło się (aż? załedwie?) trzydziści lat temu w Gdańsku i wielu innych miejscach naszego kraju. Zebrane owoce wysiłku sześćdziesięciorga autorów pokazują zarazem, jak wiele jeszcze jest do zbadania, wyjaśnienia i zrozumienia – i jak bardzo warto tym się zajmować.